

# Dodatek do „Gazety Narodowej”

z dnia 21. Sierpnia 1898.

## SEZON.

londyński, maksimum napięcia i ognisko londyńskiego, a nawet angielskiego towarzyskiego życia, trwa tak długo, jak długo na wiosennej sesji obraduje parlament. Bieżący rok parlament zamknięto 12 bm. z tym też dniem skończył się oficjalny w Londynie sezon.

W tej porze roku napływa do Londynu, błogosławionego kraju sklepów, teatrów i elegackiego świata — wszystko, co tylko ma trochę pretensji do jakiegoś stanowiska w towarzystwie. W elegackich dzielnicach Londynu wreszcie tego od początku maja aż do końca lipca najruchliwsze, jak sobie tylko wyobrazić można życie. Tysiące osób, posiadających domy na Westendzie, opuszczają Londyn, udając się jużto w podróz na łód stały jużżeż na wieś i wynajmują swoje domy wraz z umeblowaniem tym rodzinom, które mają ochotę spędzić sezon w stolicy. A ponieważ czynsz za najem domu wynosi od 200 do 600 funtów, to można sobie wyobrazić, jak olbrzymim jest obrót kapitałów w rękach samych tylko agentów zajmujących się wynajmem mieszkań. Zły sezon doprowadza też z reguły pewną liczbę takich agentów do ruiny, a oczywiście odnosi się to samo do tych wszystkich gałęzi zajęcia ludzkiego, które są związane z przyzwyczajeniami i potrzebami ludzi bogatych.

Cały Londyn ma zyski z sezonu. Zaczęwszy od artystów, którym sezon umożliwił wystawienie swoich dzieł w Royal Academy i innych galeriach, od dyrektorów teatrów, dla których sezon jest jednoznacznie słowem z wysprzedaną widownią, aż na dół do najędźnierzego włoskiego katarzyniarza i cross-sweepera, zdolnywającego na ulicy kilka pensów dziennie — wszyscy czekają sezonu jak zbawienia.

A dziesięć tysięcy wyższych? Dziesięć tych, dla których korzyści cały ten wielki trybunał sezonu stołecznego w ruchu co rok się wprawia, dla których przygotowuje się wszystko, najpiękniejsze i najlepsze co tylko dać może wyrafinowany zbytek i przywilizowany dowcip ludzki? Czy oni się bawią? Czy uważają, że olbrzymi koszt, jaki dla sezonu ponoszą, wart jest tego użycia, które zań mają? Nie bardzoby się pomylił, kto by imieniu większej ich części odpowiedział stanowczo „nie!”

Brac! udział w sezonie to przykazanie mody, a nawet pewnego rodzaju konieczność dla rodzin, w których są córki na wydaniu — ale dla ogółu jest ten sezon rzadko tylko źródłem niezamąconej uciechy. Prawda, że można tu i ówdzie — nie zbyt jednak często — natrafnić w tłumie sezonowców na rozpromienioną twarzyczkę dziewczynki z oczyma patrzącymi w świat z dziecięcą wiarą i ufnością i odbijającymi w swoich źrenicach szczerą radość ze wszystkich dziwów, jakich sezon dostarcza — od czasu do czasu słychać nawet o niezwykłej świetnej uroczystości u jakiejś księżniczki, albo innej bardzo szlachetnie urodzonej pani, na której to uroczystości supper bywa wymieniany, bo przyszedł do własnoręcznie sławny kuchmistrz Gunter, do tańców grają „blękitni Węgrzy” — jeden z książąt krwi jest na niej obecny i rozmaite osoby raczył łaskawie uszczęśliwić kilku słowami rozmowy, a co najlepsza znajduje się na niej kilku dobrych tancerzy dla młodych panien — ale w ogólności nużący pościąg za przyjemnościami nie wywołuje niczego innego właściwie jak tylko śmiertelne nudę, które sezonowicem tem dotkliwiej odczuwa, że trzeba je ukrywać pod maską jak najszybszej i najswobodniejszej zabawy.

W morzu tytułów, bogactw i piękności, które salwa Londyn w porze sezonu, wybrani tylko dostępują tego szczęścia, że nazwiska ich utrzymują się na powierzchni. Szary tłum jest bezimienny, a nie zadowolona się tem, ooby łatwo mógł osiągnąć, lecz pędzony charakterystyczną ambicją angielską pnie się w górę do kół najbardziej wyłącznych, aby raczej z wyżej stojącymi oboować, niż z równymi sobie. Tłum ten, to często nieladajaka szlachta, a jednak próżność jest dopiero wtedy zadowolona, gdy dostanie zaproszenie na bal u jakiejś lwicy z towarzys-

stwa, gdy na wysogach w Ascott znajdzie się w ogrodzeniu zarezerwowanem dla tzw. Royal Circle, albo gdy może się pochwalić udziałem w wydanej przez królową garden-party. We wszystkich tych przyjemnościach nie ma właściwie ani odrobiny przyjemności, ale za to jest się z liczbą tych wyższych, należy się do samego kożuszka śmietanki towarzyskiej.

Męski świat wysyła na zebrania w świecie dystygnowanym bardzo szczupłą reprezentację, a wskutek tego dancery tzw. dan oingmen są wielką rzadkością. Głucha wieść chodząca obecnie po Londynie, że w dopiero co minionym sezonie było 8 wyraźnie ośmiu tańczących młodzieńców w towarzystwie, a szczerze ten daje sam jeden dostatecznie wyobrażenie o tem, jak dobrze się musiały panny bawić. Kto chce dać w sezonie bal, ten ma wielką troskę o to, skąd wiać odpowiednich gości, a troska to niemal tak samo ciężka, jak owa, połączona ze staraniem się o zaproszenie lub wprowadzenie do jakiegoś dystygnowanego domu.

Na trzystu zaproszonych młodych ludzi dwustu pięćdziesięciu odmawia i gospodarze, choć koniecznie mieć dancerów rozsyłają zaproszenia do klubów oficerskich. A dzieje się to nawet z zaproszeniami do domów zamężnych, eleganckich i mających oprócz nieśp tnych córek na wydaniu szerokie koło dobrych znajomych.

Na jednym z balów, wydanych przez lorda angielskiego było 50 panien tańczących, a tylko jeden jedyny młodzieniec, gdy waga muzyka zagrała, nastąpiła chwila przykrej niepewności, co czynić. Jedna z śmielszych panien zdecydowała się wreszcie, wzięła najbliższą sobie towarzyszkę w pół i puściła się z nią walc. Za nią to samo musiały uczynić inne.

Rozumie się, że są też pewne domy, uznane za modne i poszukiwane. Do nich ciśnie się nawet najbardziej znużeni bywalcy salonowi — ale aby swój dom na takiej stopie postawić, na to musi mieć gospodyni olbrzymi zapas savoir-faire'u i wyzyskać tysiące drobnych a sprzyjających okoliczności. Nie wystarczy na to ani piękność pani domu ani nawet piękność w parze z dowcipem i inteligencją. Nieodzownym jest jeszcze dobry kucharz i dobrze w szapan zaopatrzona piwnica.

Mógłby teraz kto zapytać, czy rzeczywiście sławny na cały świat sezon londyński istotnie wypełniają tylko kosztowne toalety i zbytek. Czyżby nie miał on choć trochę odmienniejszy fizjonomii w salonaich artystów, niezonych i literatów? Wszakże wszystko, co tylko jakimś takim nazwiskiem cieszy się w świecie artystycznym, jest w Londynie podczas sezonu! — Prawda, ale tylko bardzo mała z nich liczba należy do towarzysztwa, do „society”. Ogół ich zalicza się do kontyngentu sezonowego o tyle tylko, o ile swymi powieściami, koncertami i obrazami zdola zająć i zabawić londyńskie „upper ten”. Najlepszy młodzieniaszek z rodziny o pięknem nazwisku, choćby nie umiał nawet ortograficznie pisać, więcej ma znaczenia w towarzystwie, niż największy nawet artysta, jeżeli nie należy do familii.

W Londynie przebywa wielka liczba dystygnowanych próżniaków, młodzieńców, którzy kiedyś odziedziczą po ojcach majątek, a tymczasem spędzają czas po salonach i klubach. Bywają między nimi gwardyjscy oficerowie, którzy nigdy nie wdzieją munduru i żadnej służby nie pełnią, bywają też eleganci już poddatusiali, którzy nie mają wielkiego majątku, a podczas sezonu żyją z zaproszeń do zamężnych domów, w których się zjawiają w szatach nieposzlakowanego kroju.

Ci ostatni siemę i jesień spędzają w domach wiejskich swoich znajomych, zapraszani na polowania i uroczystości rodzinne. Politycy, posłowie i wogóle ludzie nad czemkolwiek na serwo pracujący, zjawiają się także podczas sezonu w Londynie, nie grają jednak głównej roli na uroczystościach i festynach.

Prawie każdy sezon londyński może się poszczycić kilku tak zwanymi catches płci męskiej i żeńskiej. Świeżo upełnoletniony earl, hrabia angielski, albo też książę jaki, lub piękna młoda dziedziczka wzbudzają po-

wszechnie zajęcie i stają się catch tj. grubą rybą — na targu matrymonialnym. Pierwszeństwo, jakie pod tym względem młoda arystokracja angielska oddaje milionerkom amerykańskim, budzi powszechne oburzenie u Anglików, słusznie dumnych z pełnych wdzięku cór swego kraju.

Bo w istocie rzeczy nie ma chyba nic bardziej świeżego i powabniejszego nad młodą dziewczę angielską w gustownym a skromnym kostyumie — a gustu paniom angielskim z lepszego towarzystwa wcale odmówić nie można. Opinia europejska rozciągnęła zarzut nieuczności na harmonię barw i kształtów, właściwej Niemkom, także na Angielki, ale niesłusznie. Aby się o tem przekonać wystarczy wejść na salę balową lub do teatru. Wrażenie odniesione tam z ogólnego obrazu jest stanowczo przyjemne.

Zajmującą byłaby statystyka powozów i koni sprowadzonych do Londynu na sezon. Tysiące ich nieprzerwanym łańcuchem ciągną się po alejach Hyde-Parku i tysiące czekają na panów wieczorem pod teatrami i pod prywatnymi pałacami. Setki panów i pań krążą konno po Rotten-Row i widzieć tam można tak pyszne egzemplarze rodu konińskiego, że ich dość napodziwiać się nawet profan nie zdola.

I tak przez cały kwartał kalejdoskopowy obraz życia sezonowego przesłania się przed oczyma stałych mieszkańców Londynu, którzy przez cały ten czas jakby zastraszeni, trzymają się na uboczu. Dopiero w sierpniu przychodzi do nich kolej i dopiero w tym miesiącu odzyskuje Londyn swój zwyczajny prawie małomiejski wygląd.

## U króla wszystkich królów.

Negus negesti, znany od wojny z Włochami przez wszystkich w Europie, władca Abisynii Menelik, nosi dumny tytuł króla królów. Na dworze jego żyje wielu Francuzów, jeden zaś z ich przyjaciół opisał wrażenie z pobytu u czarnego króla.

Skoro wspomniany podróżnik przybył do Harraru po przebyciu spalonej pustyni somalskiej, przedwyszystkiem złożył wizytę biskupowi Thaurinowi, przebywającemu w Abisynii i sprawującemu tam urząd kapłański już od lat długich. Mgr. Thaurin jestto wcale słów podróżnika oichy i skromny starzec siedemdziesięcioletni o jowialnym i przyjaźnie-cielek-em spojrzeniu. Nosi długą, białą brodę. Zajmuje się z zamiłowaniem uprawą roli i jego to wpływowi trzeba przypisać fakt, że Gallasowie i Abisycyzycy obecnie racjonalniej niż dawniej trują się rclniotwem. Biskup przedstawił podróżnikowi Gallasów jako lud o znaczenie wyższej inteligencji od Abisycyzyków. Na dworze biskupim żyło około 30 Gallasów, którzy dosyć płynnie umieli mówić po francusku, a nawet nauczyli się w tym języku niektóre słowa i zdania pisać. Wszyscy oni pochodzili z Harraru, którą to prowincję dopiero po wielu trudach udało się Menelikowi podbić.

Nawracanie Gallasów na wiarę katolicką jest zadaniem życia biskupa Thaurina. W tym celu biskup wychowuje dzieci, a gdy dorosną, żeni ich z dziewczętami pochodzonymi i tym sposobem tworzy rodziny katolickie.

Menelik jest władcą pełnym tolerancji, ale stoi zawsze pod większym lub mniejszym wpływem swego duchowieństwa. Bardzo jest zazdrosny o swoją władzę i wogóle nie lubi Europejczyków — wszystkich bez różnicy narodowości. Znosi wprawdzie ich obecność w swoim pobliżu, ale nie żałuje, gdy odjeżdżają.

Z tego to powodu nie jest i biskup Thaurin nazbyt lubiany na dworze i z tego samego powodu nawet w Harrarze otaczają biskupa wszędząd szpiegi. Nie wolno też biskupowi bez pośredniego opowiadania się opuszczać miasta. Innym Francuzom, mieszkającym w Harrarze jest naturalnie jeszcze gorzej.

Co do stosunków handlowych Abisynii z Europą, a tem samem i z Francją, to na nie potrzeba jeszcze długo i cierpliwie czekać. Na razie tak Menelik jak i ogół Abisycyzyków mają kupców europejskich za wyzyskiwaczy. W tem przekonaniu utwierdziło ich

zwłaszcza dziwne postępowanie rosyjskiego generała Własowa. Własow przybył do Addis-Abeby z tuzinem oficerów i trzydziestką kozaków i kazał Abisycyzykom siebie i cały swój dwór żywić za darmo tak w drodze do negusa jak i z powrotem. Cała misya żyła bardzo dostatnio, a gdy odjeżdżała, nie zapłaciła za nic ani kopiejki. Inaczej postępowali Anglicy, którzy zawsze za wszystko bardzo punktualnie co do grosza płacili i płacą.

Dziubiti rozwija się szybko i nawet zdaniem wielu zanadto szybko — wszystko zresztą zależy od tego, czy Menelik wytrwa w dzisiejszej swojej nienności do wszystkiego co europejskie. Szwajcar Ilg, który przebywa w Abisynii od lat 15, został przez Menelika w roku zeszłym zamianowany radcą państwowym, a stanowisko ma mniej więcej takie, jakby minister spraw zagranicznych. Jako Szwajcar jest on bezstronnym co do doradzania Menelikowi przyjaźni z tem czy owem mocarstwem europejskiem, ale jako Niemiec umie gromadzić majątek i nie zapomina o własnej kasie.

Gdy jeszcze wojna z Włochami trwała, przysłał Menelikowi oar pewną liczbę karabinów, które generał Albertone skonfiskował. Po zawarciu pokoju Ilg bez wiedzy Menelika zażądał za to od Włoch odszkodowania. Leontiew, gdy się o tem dowiedział, zagroził, że wyjawia całą manipulację — a w ostateczności jakoś się wszyscy pogodzili.

Ilg jest oprócz tego sekretarzem negusa i z tego tytułu wręcza mu listy, które poprzed sam przeczytał.

Z pomiędzy innych Europejczyków lubi Menelik Francuza Mondona za dowcip, ale mimo tych względów dla Francuzów, francuska misya, wysłana do Abisynii przez rząd pod wodzą Bonchamps nie dała pomyślnych rezultatów. Przedwyszystkiem rozbiegli się członkowie samej misyi, a członek jej dobro- wolny Michel opuścił ją, dowodząc, że nie podobna wytrzymać w towarzystwie Bonchamps, a zupełnie to samo mówił o Michelu Bonchamps. W dodatku z powodu licznych przeszkód misya nie zdolała z zadania swego wywiązać się w zupełności.

Do tego niepowodzenia przyczyniła się nieo Anglia, jak widać z tego, że dziwnym przypadkiem po przybyciu Bonchamps do Abisynii, wypadła też gubernatorowi Zeili, pełnomocnemu posłowi angielskiemu Harringtonowi podróz do Addis-Abeby, aby złożyć negusowi życzenia królowi angielskiej. Po tej wizycie wbrew zapowiedzi Bonchamps z okolicznymi plemionami nie zawarł on traktatów we wspólnem imieniu Abisynii i Francji, lecz wyłącznie tylko w imieniu Menelika. Dokument, którym Menelik Bonchamps mocował od tych układów, zawierał tylko te słowa: „Od Bara do białego Nilu zatykać będzie nad Nilem p. de Bonchamps mój sztandar. Pozwoliłem mu na to”. Na dokumencie nie ma własnoręcznego podpisu Menelika, jest tylko jego pieczęć, którą p. Ilg przechowuje.

## Złodzieje hotelowi.

Postęp cywilizacji spowodował coraz większe specjalizowanie się zajęć ludzkich, a najbliższym tego objawu powodem będzie prawdopodobnie to, iż wszelka specjalność lepiej się opłaca. Specjalistów mamy obecnie w każdej gałęzi pracy ludzkiej — mamy ich też w ośchu rzezimieszeków.

Do najwybitniejszych koryfeuszów cechu złodziejskiego należą bezsprzecznie rzezimieszki hotelowe i im to zawdzięcza cała korporacja większą część swojej światowej sławy. Przedmiotem operacji ich bywają tak dobre podrózniki jak i właściciele hotelów, a co ciekawsza, ten gatunek rzezimieszeków zdaje się być obdarzony od natury talentem humorystycznym i satyrycznym.

Jaknajprzystojniej np. wyglądający, skromny i wogóle zaufanie budzący młody człowiek zainstalował się w hotelu w jakiejś miejscowości. Właściciel hotelu, który młodzieńcowi codziennie mieniał nowiutką dwudziestofrankówkę, chętnie mu wszystkiego dostarczał na kredyt. Jeżeli nie zasługuje na zaufanie oszo-

wiek, który codzień 20 franków wydaje na drobniutki w mieście, to komuż w takim razie kredytować? Tymczasem ptaszek miał od początku jedną jedyną tylko sztukę dwudziesto frankową. Dawał ją codzień mieniać hotelierowi, a drobne opędzję w mieście przemieniał w jakimś sklepie na jedną złotą sztukę. W dniu w którym się młodzieniec ułotnił z hotelu na zawazę, kazał sobie w dodatku hotelierowi zmienić fałszywą sztukę na drobne.

W Newhaven w Anglii uwięziono niedawno dwóch hotelowych specjalistów, których czyny wysoko wyrastają po nad poziom zwykłych „robót” ich kolegów. „Roboty” dokonywali za pomocą najnowszej zdobyczy techniki tj. pneumatyki. W podróżach towarzyszyli im ciężkie i wielkie kufry, torby, sakwojaże itd. i tem imponowali służbie we wszystkich hotelach, w których stawali. Zresztą zawsze postępowali bardzo po pańsku i z wielką oglądą towarzyską, to też wszędzie udzielano im chętnie jak największego kredytu.

Gdy ci dwaj dżentelmeni znikali z jakiego hotelu i wogóle z miasta, w którym już zanadto wiele długów narobili, aby mogli bezpiecznie dłużej pozostawać, ujawniali się zaraz po ich odjeździe najrozmaitsze złodziejstwa i kradzieże przez nich popełnione. Wszyscy w głowie zachodzili, jakim sposobem mogli się ptaszki tak oich i nieopatrzenie wynieść, kiedy razem z nimi i olbrzymie ich pakunki podróżne zniknęły. Dopiero po uwięzieniu obu rzezimieszeków dowiedziano się, że wszystkie kufry i torby ich były z gumelastki wydymanej powietrzem, a ciężaru dodawały im ołowiane listwy, umieszczone wewnątrz.

Gdy nadeszła chwila ucieczki rzezimieszki wypuszczali z kufrow powietrze, listwy ołowiane owijali w papier i z olbrzymimi kufkami w kieszeniach paltota najspokojniej jechali na kolej.

Inny specjalista w dziale złodziejstwa hotelowego, tak zwany „czarny osłowiek” od czarnego trykotu, który wdziawał na siebie nocą, gdy sznucał dzienny elegancki garnitur i snuł się po korytarzach, badając pod którym numerem samotniejszy jaki pasażer stoi — otóż ten czarny osłowiek jest technicznym wynalazcą. Zdarzało mu się mianowicie, że pasażer, u którego mocno się było w danym hotelu najlepiej obłowić, właśnie największe trudności stawał rozwinięciu złodziejskiej „czarnego osłowieka” genialności — nie tylko bowiem samykal się na klucz w pokoju na noc, ale jeszcze klucz w zamku zostawiał. Czarny osłowiek tedy wymyślił specjalne szczytce do otwierania zewnątrz drzwi zamkniętych w ten sposób.

Pospolity tłum złodziejski „pracuje” wcale jednego i tego samego szablonu, przyozem nierzadko miewają do pomocy i spółki kobiety uderzającej piękności.

Osobną kategorię hotelowych złodziei stanowią tacy, co na sąsiedzie fałszywych świadectw dostają się między służbę hotelową jako czyściciele lamp, stajenni itd. Tego rodzaju specjalności miewają zazwyczaj wspólników w mieście i wyrzucają im przez okno wszystko to, co u pasażerów pokradną. Skutkiem tego niesmiernie trudno temu gatunkowi międzynarodowej kliki dowieść kiedy czego.

W zachodniej części Europy skonstatowano, że między hotelowymi złodziejami stanowią większość Grecy, Rumani i Hiszpanie, którzy najczęściej bardzo dźwięczne przybijają sobie nazwiska i płynnie mówią kilku językami.

Fejleton na odwrotnej stronie.

Krawaty najnowszycy fasonów od 60 ct. Koszule, Kołnierze i Mankiety otrzymaj Magazyn Nowości E. Machajskiego  
Lwów, róg ulicy Jagiellońskiej i Trzeciego Maja.  
ZEFIRY, BATYSTY, SATYNY i LEWANTYNY Magazyn Schayerów we Lwowie  
poleca w wielkim wyborze



Polonez Ogińskiego.

Był organistą w małym miasteczku. Ra- no grywał na organach księżdzu proboszczowi podczas odprawiania mszy, popołudniu zaj- mował się struganiem lalek, pajaców i mły- nów djabełskich. Przynosiło mu to jakiś taki dochód, który połączony z niewielką pensyją pozwolił mu żyć. Więc żył jak tysiące ludzi, jak setki organistów w małych miasteczkach. Nos miał nieco czerwony od tabaki i czerw- oną miał chusteczkę z wyobrażeniem Bismar- ka. Byłby zadowolony z życia, gdyby nie pragnienia i nie wspomnienia.

Pragnieniem jego niegdyś było zostać wielkim artystą, a został tylko zwykłym orga- nistą. Niekiedy z głębi duszy zrywał mu się, niby stado żorawi, pogrzebane oddawna marzenia. To go smuciło, bo jego małym, si- wym oczkom nadawało wyraz pewnej tęskno- ty i pewnego żalu.

Wspomnienia jego były także smutne, bo wszystko w jego życiu smutnie się ukła- dało. Miał żonę, którą kochał i ta mu umarła. Został po niej synek maleńki.

Boże drogi! jakże on kochał tego swego syna. Dziecko było blade i miało duże, czarne oczy matozyste, pełne łez i pełne melancholii.

Z ojcem chodziło na chór starego ko- ściola w miasteczku, wpatrywało się w goty- ckie, ponure jego wnętrza, w złocistych anio- łów, w miecz przesywający serce Buskiej Matki, kusiło się dymem trybularzy. Przy- cupnawszy w kącie, całym godzinami koly- sało się na majestacie przeszłości, drzemią- cym w kamiennej koronie gotyku. A ze stu- pów, oo jak struny naciągnięte na lutni, zda- wały się rwać w niebo, uśmiechały się do niego różę gotyckie, skamieniały w maraureze

rycerze na grobowcach, wieki dawno mi- niące.

W oju odzywała się niekiedy, w dnie szczęśliwe i słoneczne dawna żyłka artystycz- na. Wówczas siadłszy do organów, rzucał z nich całe masy tonów harmonijnych i powa- żnych, które układały się w dziwnie żalostliwą melodię pod sklepieniem kościoła. Nabożne mieszczy, słuchając tej muzyki płakały, tak im szła do serca i szeptały do siebie:

— Staroju Jana nawiedziło dzisia.

A stary Jan rozmarzony muzyką, rozog- niony jej melodią, wstawał zwykle od orga- nów bladej, z głową rozochraną i ocierającą czerwoną chustką oczy, brał syna za rękę i mówił:

— Chodź Zygmunie, będziemy płakać.

A syn był wtedy zwykle bladszy i wiel- kie jego czarne oczy paliły się takim blask- kiem, jakby kto w ich źrenicach umieścił świece jarzące. Szli więc do domu, trzyma- jąc się za rękę, nie patrząc na nikogo... na dzień jasny i ułożony słońcem, na stare lipy okalające kościół, na mieszczy, które przy- patrywały się ojcu i synowi i szeptały:

— Nawiedziło go, ani chybi, nawie- dziło.

W domu, w dużej i czarnej izbie, do której słońce przez dwa zakratowane okna, zasłonięte lipami i potężną masą murów ko- ścielnych, i zako zagładało, ojciec brał za- wieszoną nad łóżkiem skrzypce i grał polo- neza Ogińskiego.

I tak grając płakał i syn także płakał.

Staremu z jego siwych oczek spływały po- czerwonych i zbrzdżonych polczkach dwie strugi łez, a młody lkał głośno. I w tej smut- nej izbie słychać było kwilące tony poloneza i płacz dziecka.

Ale za to zewnątrz na omentarzu ko- ścielnym, pokrytym kilku grobowcami, zieloną trawą i ostionętym starymi lipami, życie na- tury nosiło na sobie charakter spokojnej po- ważnej wesołości, nicem nigdy niezakłóco- nej. Słońce ślizgało się po szarych murach ko- ścielnych, ozlcało posępne grobowce omen-

tarne, zagładało wszędzie. W jego promie- niach kąpały się motyle i muszki, skwarzyło się w nich coś wesołnie ruchliwego i żyjącego. Cisza nie będąca przecież ciszą, unosiła się nad tem wszystkim, a w niej rozply- wały się, nurzały i nikły melancholijne tony poloneza...

— Przy tym polonezie mówił do syna organista — twoja matka Zygmunie umierała i kiedyś ostatnią nutą wygrała, to struna mi- pękła, ot widzisz, ta struna, a z nią pękło jej życie. Płacz Zygmunie, płacz i pamiętaj mój synu, kiedy ja będę umierał, to zagraj mi tego poloneza. Łżej konać będzie. Stary mój mistrz wyprowadzi na tych tonach duszę tak leciutko z ciała, że nie będę wiedział kiedy skonałem...

I zdziwione smutno było wówczas w izbie organisty. Blade blaski doia całowały na ścianie księcia Józefa, oddającego Bogu honor Polaków i oświecały jakiegoś pajaca, leżą- cego na stole z fantastycznie zadartymi nogami.

W wąskich oknach kościoła, różnobarwne gotyckie szyby odbijały światło i przesyłały do izby wszystkie kolory tęczy, które drżały na podłodze, na ścianach, na księciu Józefie, lub na smutnej i zaplakaną twarz Zygmunie.

Ale na świecie nie zawsze się tak dzieje jakby nakazywał porządek. Pewnej zimy Zy- gmunie się zaziębił i położył się do łóżka, by z niego nigdy nie wstał. Gorączka spiekła mu bladą twarz i wypaliła na niej dwa czerwone niezdrowe rumieńce, a w oczach roznieciła nienaturalny ogień.

I nowe smutne wspomnienie miało przy- byd do wspomnień organisty.

Ol dzień to był straszny. Wiochura sza- lała i niosła na sobie całe pachy suchego śniegu, rozbiła ją go o mury kościoła i o o- kienka izby. W izbie tej było ciemniej niż zwykle. Wiatr przez źle opatrzone okna i drzwi dostawał się do wnętrza, wyl w komi- nie, pisał i piszczał przez żelazie. Już teraz słońce letnie nie całowało pogrążonego w cie-

mościach na ścianie księcia Józefa, nie przy- nosiło kolorów tęczy od okien kościoła, nie na- pełniało tej izby choć bladym braskiem dnia. Wielkie cienie przewłoczyły się po wszyst- kich kątach i padały na środek, jeżeli wicher przyniósł pod okna tuman śnieżyoy. Obnażone z liści gałęzie lip na omentarzu kościelnym tłukły się o siebie, auchy, bezdźwięczny trząsał ich gwałzi tworzył bardzo niemilą po- nurą harmonię z wyciem wichru. Od dzwon- niocy, od czasu do czasu wpadał do izby od- głos ponury dzwonn, szarpniętego przez wiatr odgłos urywany, nagły, rozplywający się na falach wzburzonego powietrza, uciuchający i znów rosający w się. Wszystko to było smut- ne, bardzo smutne, ale najsmutniejsze było to, oo się działo w izbie.

Zygmunie konał. Na wielkim łóżku ojea leżał utopiony w poduszce, blade, chwytają- cy drobna, wyschniętą swoją pierś uciucha- jące przed nim powietrze. Zapadł wieczór i w izbie zrobiło się ciemno.

— Zapal tatusiu świecę! — szeptał do ojea.

Ojciec wstał i zapalił dwa ogarki gru- bych, kościelnych świec z złotego wosku, resztki zapewne, pozostałe z jakiego uro- czystego pogrzebu, od katafalka lub tru- mny.

Ale blask tych dwóch świec, umieszczo- nych na stole, nie mógł rozgnać mrocznych cieniów w izbie. Żółte ich, niepewne światło rozplywało się w smutnych blaskach po twa- rzy ojca i konającego syna. A śnieżyca sza- lała po dąwnemu i po dąwnemu przynosiła urywany odgłos dzwonnków z wieży ko- ścielnej.

Zygmunie wyciągnął do ojca suche rączy- ny, takie białe jak papier i mówił:

— Ja umrę, tatusiu. Nie ja tobie za- gram poloneza przy skonaniu, ale ty mnie, Zagraj tatusiu, niech moja dusza leciutko wyjdzie z ciała na tych tonach. Ja bardzo lubię poloneza. Zagraj tatusiu...

A stary organista krzywił do uśmiechu twarz i mówił:

— Co tobie przychodzi do głowy mój chłopcze. Nikt nie umiera w twoim wieku. Będiesz żył jeszcze długo, bardzo długo i przeżyjesz mnie. Ty mnie oddasz śmierci na tonach poloneza. Ho! ho! koby tam umie- rał tak młodo. Oto widzisz tego pajaca. Sli- czny pajac, jak Pana Boga kocham. Podobal ci się, prawda? Ja go dla ciebie zrobię. Wy- tnąę mu wioę gębę, będzie się śmiał aż miło. A jak go puszcza w ruch, dopiero będzie wywijal nogami! Jeszczem nigdy tak piękne- go pajaca nie zrobił, przysięgam Bogu. Gdy- bym go zaniósł na jarmark, dostałbym jak nie sześć czeskich. Ale ja go nie sprzedam, zostawię go w domu, dla ciebie.

Ale Zygmunie nie słuchał, tylko wskazu- jąc na skrzypce, prosił:

— Zagraj tatusiu poloneza, niech lżej umieram.

Stary głośno się śmiał, a z jego siwych oczu płynęły łzy.

— Zagram ci, kiedy chcesz. Smutny je- steś, a na smutek najlepszą jest muzyka me- go dobrego mistrza.

Wstał i wziął skrzypce. Zygmunie podniósł głowę, oparł ją na ma- lej rączynie, i duże czarne oczy wlepił w smyczek, jakby chciał pochłonąć wszystkie tony poloneza.

A polonez kwilił, lkał, płakał wielkim bolem i wielkim smutkiem. Na tle ponurego gwaru burzy, jego delikatne, łzawe tony roz- wijały się powoli i poważnie, chwytały się urywanych dźwięków dzwonn, snły się jak pogrzebowy orszak, zapelniały izbę sobą i konały gdzieś w jej kątach. Struny skrzypce drżały pod dotknięciem drżącego w rękach ojca smyczka, kwiliły żalostnie i melanco- lijnie. A kiedy z tych strun wydobył się ostatni, niesforny dźwięk rozbitych wielkich nadziei, ostatni jęk zbolalej piersi, Zygmunie skłonił głowę i konał... W. P.

Seiden-Damašte 75 kr. bis fl. 14.65 p. Meter und Seiden-Brocate ab meinen eigenen Fabriken. Zu Roben und Blousen: ab Fabrik! An Private porto- u. zollfrei ins Haus! Muster umgehend. G. Henneberg's Seiden-Fabriken, Zürich (K. & K. Hoflieferant).

KSIĘGARNIA KATOLICKA WŁAD. MILKOWSKIEGO w Krakowie, Rynek 30. Kazania katechetyczne o wierze katolickiej...

Akademia handlowa w Gracu. Jednoroczny kurs kupiecki dla uczniów szkół średnich...

GRAND HOTEL NATIONAL Wiedeń II., Taborstrasse 18. Od dawna znany, hotel rodzinny...

PREMIOWANY NAJWIĘKSZAMI ODZNACZENIAMI J. ANDEL'A Proszek zamorski zabija i niszczy bezpowrotnie...

Bulion mięsny i z dziczyzny najprzedniejszy. po zkr. 4-- 6.40 i 7.20 za kilo...

Jeśli kto chce mieć za swoje pieniądze Parasol patentowany Satin de Chine...

Żyto „Tryumf” h. dowlu Bahlsena, najpiękniejsze ze zna- nych odmian...

Morath's droguerya pod Bobrem w Gracu. Do nabycia wszędzie, oprócz w traf- kach tytoniu...

CYRYL ZVEKINA w Pradze, ul. Jindriška 1. 31 hurtowny handel masarski...

Linie Holandya-Ameryka. Przewóz jedno lub dwurazowy tygodniowo z Rotterdamu do Now. Yorku.

Jako dobrą i pewną lokacyę polecamy: 4% listy hipoteczne, 4% listy hipoteczne koronowe...

KANTOR WYMIANY c. k. uprz. galic. akcyjnego Banku hipotecznego. Kantor wymiany i oddział depozytowy...

Konkurs na posadę inspektora policyi miejskiej i naczelnika miejskiej stra- ży pożarnej...

PERFUMY !! z białych fiołków !! wynałazku Jana Ichnatowicza we Lwowie. Sklepy własne: we Lwowie ul. Kopernika 3...

Odezwa do matek! Kto chce kupić dziecienny wózek, niechaj żąda ilustrowanego cennika...

Ogłoszenia RUDOLF MOSSE Wiedeń, 1., Seilerstätte 2, Praga, Graben 14.

Zarzutki i płaszcz angielskie oraz parasolki we wielkim wyborze „Magazyn nowości” E. Machayskiego Lwów, róg ulicy Jagiellońskiej i Trzeciego Maja.